



FANTASTYKA

Edward Guziakiewicz

ENBARGONKI

Edward Guziakiewicz

Enbargonki

Copyright © 2018 Edward Guziakiewicz

ISBN 978-83-64865-69-5

Zdjęcie na okładce

Pixabay.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie
i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione
bez pisemnej zgody autora.

Rozdział 10

Zaroiło się w wysokim salonie. Posypało się jak z rogu obfitości i znalazłem w samym środku ruchliwego babińca. Wszedłem i oniemiałem, a oczy z wrażenia omal nie wyszły mi z orbit. Miałem przed sobą jak na dłoni goszczące w kurorcie madonny. Przyglądałem się im z zapartym tchem. Mogłem wreszcie zobaczyć, kto trzęsie tym ośrodkiem i pod czyje skrzydła trafiłem. A może śniłem na jawie? Czy to działa się naprawdę? Z tego wszystkiego znieruchomiałem i Grace musiała mnie zachęcająco pchnąć do przodu.

— O nieba!.. — z niedowierzaniem mruknąłem. — Ja cię kręcę, to niemożliwe!

Nadziałem się na pośpieszne przygotowania do posiłku. Kręcące się tu modelki, śliczne i proste jak świeca, taktownie mnie omijały, uśmiechając się do mnie przelotem, niektóre kokieteryjnie i zalotnie. Uwijały się jak w ukropie. Wyglądały kwitnąco i miały klasę. Nie byłbym mężczyzną, gdybym nie poczuł potężnej dawki adrenaliny. Pasłem oczy ich widokiem. Same odłotowe dziewczyny! Ze świecą takich szukać. Trudno było na nie się nie połakomić. Jednak nie zachowywały się wyzywająco. Jeśli czuły się podekscytowane moim przybyciem, to tego nie okazywały. Nie zatrzymywały się przy mnie i nie zagadywały, ale też nie dawały do zrozumienia, że na mój widok chcą uciec ze strachem z tej planety.

Zapuściłem mimochodem żurawia do luksusowej kuchni, starając się żadnej z rusalek nie wchodzić w drogę. Generator potraw należał do sprzętów najwyższej klasy i zadziwiał nowoczesnością kształtów. Uderzał grą kolorowych świateł i wypluwał

z siebie kulinarne dzieła sztuki, których nie powstydziliby się żadna ekskluzywna restauracja. Wolałem sobie nie wyobrażać, ile takie cudo kosztowało. Pociągnąłem nosem, łowiąc zapachy. Pojąłem, że o żarcie nie muszę się martwić. Nie zamierzano mnie tu karmić beztreściową papką. Witano przybysza z rozmachem i nie groziło mu, że będzie przymierać głodem.

Długi stół obstawiono wyściełanymi krzesłami. Sądząc po tym, co ujrzałem na białym obrusie, zapowiadał się raczej szumny obiad niż skromny lunch. Dyskretnie policzyłem uroczę gospodynie. Agnes i Jacqueline już poznałem. Jedna, druga, trzecia, czwarta... Doliczyłem się sześciu smukłych dam. Nakrywały dla dziewięciu osób. Były odziane zwiewnie i kobieco. Znakomicie się prezentowały w lekkich kwiecistych kombinezonach typu bodyflirt i shirtowych sukienkach. Umiały bawić się modą, miały dobry gust i swój własny wyrafinowany styl, którego nie musiały się wstydzić.

Grace uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że z przejęciem przyglądam się jej przyjaciółkom, a potem pozostawiła mnie samego, odchodząc bez słowa. Widocznie chciała się przebrać. Rzuciła mnie na głęboką wodę. Gdy mnie opuściła, zabrakło mi nagle pewności siebie. Poczuję się zagubiony i onieśmielony. Bez niej nie wiedziałem, co robić. Przerywać przygotowania do obiadu? Kłaniać się po kolei tym dziuniom i podawać im dłoń na powitanie? Nie odzywały się do mnie, więc i ja nie próbowałem do nich zagadywać. Usunąłem się pod ścianę jak nieśmiały szczeniak na dyskotecę szkolnej, nie chcąc wchodzić im w paradę. Potem skryłem się za zdobną donicą z efektownym krzewem obsypanym drobnymi kwiatami.

Biłem się z myślami. Nie liczyłem na tak rewelacyjne foczki. Pojąłem, że peszą mnie te kokietki, wszystkie jak marzenie, o niebanalnej urodzie, zadbane, uwodzicielskie i tajemnicze. Ich nieprzeparty urok zniewalał i odnosiło się wrażenie, że są ulepione z lepszej gliny. Oślepiały mnie swoją urodą. Reprezentowały ród niewieści od jak najlepszej strony i czułem, że nie dorastam

im do pięć. Czy nie pomyłono się, przysyłając mnie na tę tajemniczą planetę? Czy nie ustawiono mi za wysoko poprzeczki? Szykowne donny z wyższych sfer, dalekie od stereotypu kury domowej i ja — skromny pilot, przybłąda z Marsa. Co taki cienias robił między nimi?

Nerwowo zatarłem ręce, które z wrażenia nieco mi zwilgotniały. Nie byłem lwem salonowym i światowcem o nienagannych manierach, zatem nie zapowiadało się, że poczuję się swobodnie w tak wytwornym towarzystwie. Nie ukończyłem żadnej elitarnej szkoły, brakowało mi chłodnej rezerwy, opanowania i pewności siebie, więc zaczęło chodzić mi po głowie, że spadnę do roli boya do czyszczenia basenu. Co tu dużo mówić, groziło mi, że przy tych damach wypadnę jak prostak. Kobiety uwielbiały wpływowych i silnych mężczyzn, a ja do takich nie należałem. Miałem wątpliwości, czy zechcą zniżyć się do mego poziomu. Cholera jasna! Mimo to postanowiłem wziąć się w garść. Czy chciałem, czy nie, musiałem sprostać rysującemu się przede mną wyzwaniu i stanąć na wysokości zadania. Nie zamierzałem wystawiać się na pośmiewisko. William Smith nie mógł dać plamy i skompromitować się w obliczu takich piękności.

Wziąłem się do galopu. Opuściłem hol. Chciałem zaimponować goszczącym tu dziuniom. Przeniósłem się do mojej dziupli, żeby się przebrać. Ręce drżały mi z podniecenia. Miałem wrażenie, że powietrze wokół mnie wibruje. Nie mogłem tracić czasu. Liczyło się pierwsze wrażenie i należało dobrze wypaść, więc rozejrzałem się za czymś w miarę paradnym.

Myszkowałem w szafie, a myślami byłem przy tym, co zastałem w salonie, który w mojej rozhuśtanej wyobraźni zamieniał się w baśniowy ogród z „Księgi z tysiąca i jednej nocy”. Nie opuszczało mnie przeświadczenie, że do tego nadmorskiego kurortu ściągnięto najseksowniejsze dżagi z całego Układu Słonecznego. Nawet najbardziej obojętne serce zapłonęłoby więc namiętnością. Te laski nie były wyrachowane i oschłe, zamknięte w sobie i odpychające, czego się obawiałem, gdy leciałem na tę planetę.

— Ja cię kręcę! — wymamrotałem, jakbym nie umiał niczego innego powiedzieć. Nie czekały na mnie tutaj ani spasione i aseksualne babsztyle, ani pogodzone z losem niewolnic szare myszki, potulne i zahukane, przetrącone przez życie, a spełniające się przy smażeniu naleśników w tanich restauracjach.

Dotarło wreszcie do mnie, że przez dwa tygodnie nie zabraknie mi mocnych wrażeń. O ile te dziunie na mnie polecą i będą chciały figlarnie się zabawić. Psiamać, nie miałem się nudzić! Cóż innego można było robić na szalonych wczasach w tropikach, jeśli nie oddawać się podbojom miłosnym? Zaczynałem wierzyć, że John Marlow nie wystawił mnie do wiatru.

— Ja cię kręcę! — mruknąłem po raz trzeci, pojmując, że z wrażenia brakuje mi języka w gębie. Właściwie powinienem był zdrowo zakląć, ale się nie odważyłem.

Gościło tu osiem chodzących pokus. Dlaczego właśnie tyle? Można było zwariować ze szczęścia. Wszystkie były do rzeczy.

— Pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma, ósma — zacząłem dukać. Powtarzałem jak mantrę magiczne liczby, które w mojej wyobraźni zamieniały się w klucze do damskich sypialni. Nie znalazłbym tu takiej, na którą nie miałbym ochoty i której nie chciałbym zaciągnąć do łóżka.

Przebierałem się i rosła we mnie ciekawość, a przez głowę przetaczał mi się huragan myśli. Jak szybko te chodzące pokusy zamierzały mi ulec? Czy mężczyzna musiał długo zabiegać o ich względy? Czy rzeczywiście chciały, żebym je zdobył i zaliczył? Były naprawdę gotowe wylądować ze mną w łóżku? Czy pociągał je seks dla sportu? Czy nie lękały się, że stracą coś, czego już później nie będą mogły odzyskać? A może paliły się do tego, by piętrzyć przede mną przeszkody i uczyć mnie cierpliwości? Czy kobiety ich urody nie zasługiwały na lepszego faceta? Co tam! Nie powinienem był się obawiać. Skoro te megagwiazdy pozwoliły się umieścić na tajemniczej miłosnej liście, do której półgębkiem nawiązywały w rozmowach, na pewno nie miały zamiaru zamieniać się w niezdobyte twierdze i wystawiać mnie do wiatru.

A co z ich temperamentem? Czy nie liczyły przypadkiem na sesanse sadomasochistyczne? Miałem je brać siłą? Rozrywać im bieliznę? Względnie im ulegać? Grać rolę ich niewolnika? Pozwalać, by smagały mnie pejczem? Modliszki? Erynie? Walkirie? Nie!

— Oj, będzie się działo! — zapałem jak kogut.

Dygotałem z przejęcia niczym młokos przed pierwszą randką. Nie umiałem sobie poradzić z nadmiarem niewiadomych. Zerknąłem w lustro. Rozczesałem dłonią przydługawe włosy z przedziałką pośrodku głowy, zasłaniające mi uszy. Cholera, nie wzięłem grzebienia. Matka ze mnie kpiła, że moja fryzura przywodzi na myśl zapomniane ptasie gniazdo. Czy miałem prężyć muskuły? Obejrzałem swoje bicepsy. Obawiałem się, że nie spełniam marzeń kobiet o cudownie wyrzeźbionym męskim ciele, chociaż tors miałem niczego sobie. Nie przypominałem niepospolitej urody Adonisa i pojąłem, że przydałaby mi się odrobina metamorfozy. Powinienem być postarać się o dobrze umięśnioną sylwetkę, choć przecież nigdy dotąd nie miałem bzika na punkcie tężyzny. Musiałem zaprzyjaźnić się z kabiną regeneracyjną, która zastępowała dawną siłownię. Ale na to potrzebowałem czasu. Obejrzałem swoje dłonie. Paznokcie miałem krótko obcięte. Podobno kobiety zwracały uwagę na ręce mężczyzny. Założyłem szykowne długie spodnie, ukrywające nieco szcudlaste nogi, a do nich zdobioną koszulę ze stójką. Znowu się przejrzałem. Wystroilem się jak elegancik. Rozpiąłem kilka guzików, żeby odsłonić zarośnięte piersi. W tutejszym ciepłym klimacie mogłem na co dzień chodzić w samych szortach. Jeszcze raz zerknąłem w lustro.

— Spokojnie, będzie dobrze, Williamie! Nie wpadaj w histerię. Nie jesteś starym i obleśnym typem — pocieszająco rzuciłem do swego odbicia. — Nie chodzisz zgięty i nie wystaje ci brzuch. Masz dopiero trzydzieści sześć lat. Poradzisz sobie. Nawet jeśli nie jesteś takim ogierem, na jakiego tu czekano. Jednak nosisz głowę na karku, a to się liczy!

Gdy z duszą na ramieniu wróciłem do salonu, witające mnie

dziunie były już w komplecie. Stwarzały wrażenie nastawionych przyjacielsko i życzliwie. Obsiadły suto zastawiony stół. Czekwały na głodomora z Ziemi. Przywołałem na twarz blady uśmiech, starając się ukryć targające mną emocje.

— Zapraszamy cię, Williamie! — usłyszałem słowa zachęty.

Budząca respekt Grace podniosła się i pokazała mi krzesło. Założyła do obiadu ekskluzywną letnią kieckę. Działała na mnie uspokajająco i czułem się przy niej w miarę bezpieczny. Usadziła mnie na poczesnym miejscu, u szczytu stołu, więc miałem widok na wszystkie kusicielki. Sama ulokowała się obok po prawej stronie.

— Ufff! — sapnąłem.

Białe obrus zdobiły szlachetna zastawa porcelanowa i graverowane sztuce ze srebra. Stały świece i kwiaty we flakonach, tworzące miłą dla oka kompozycję. Obyło się bez oficjalnych przemówień i ceremonialnej modlitwy, której nie znośłem na Meduzie. Nie musiałem wygłaszać żadnego orędzia. Domyślałem się, że w takim kurorcie życie biegnie jak na pokładzie luksusowego statku pasażerskiego, pokonującego mroźne próżnie.

W zamkniętej przestrzeni karaweli nudzący się podróżni ustawicznie ocierali się o siebie, więc szybko wchodzili w komitywę. Potem już było łatwo o ekscytujący ciąg dalszy. O niezapomnianą przygodę, która ubarwiała wspomnienia z lotu.

— Doceniamy, że jesteś z nami. Zupa z żółwia na początek — powiedziała. — Miejmy nadzieję, że dopisze ci apetyt. Smacznego!

— Nawzajem, dziękuję! — odrzekłem, nie chcąc źle wypaść. Pozostawaliśmy niewolnikami pozorów i musieliśmy dbać o konwenanse. Przynajmniej na początku znajomości, bo potem mogło być różnie.

Założyłem sobie serwetkę pod szyję. W takim szalowym towarzystwie liczyły się dobre maniery. Wprawdzie nie trafiłem do pięciogwiazdkowej restauracji z dystygowanymi kelnerami we frakach i nadętym szefem sali za plecami, ale powinienem był

się kontrolować. Pilnowałem swoich rąk, nie zamierzając im pozwolić na nadmierną swobodę. A już miałem zacząć nerwowo bębnić palcami. Przysunąłem wazę i nalałem chochlą Grace na talerz. Potem zalotnicy po lewej ręce. Wreszcie sobie. Poszło jak z płatka. Oparłem się wygodnie i ująłem łyżkę. Pocieszyłem się myślą, że każdy zespół ma swego frontmana. Tu ja odgrywałem jego rolę, czy chciałem, czy nie, bo tak ułożyły się sprawy. Byłem przecież jedynym facetem w tym gronie, prawdziwym samcem alfa, mającym prawo stanąć na czele stada.

Siedzące przy stole muzy nie wydawały się skrepowane, a moja obecność ich nie onieśmiała. Przyjęły ją jako coś oczywistego, nad czym przechodzi się od razu do porządku dziennego. Dyskretnie wymieniały się uwagami. Jak wszystkie piękne kobiety były egocentryczkami, ale odrobina narcyzmu im nie szkodziła.

Bez pośpiechu przyjrzałem się każdej z nich, ślizgając się wzrokiem po przesłicznych twarzach. Wszystkie przyciągały uwagę. Były wiedźmami czy aniołami dobroci? Nie przypominały drużyny gównianych czirliderek i nie musiałem czuć się jak początkujący nauczyciel w szkole. Za wyjątkiem jednej, która wyglądała na nastolatkę, mieściły się w przedziale między dwudziestką a trzydziestką. No, może niektóre lokowały się bliżej wspomnianej górnej granicy. Niemniej kipiały młodością. Takie ślicznotki nie lubiły się nudzić. Nie zaliczały się do dam w wieku balzakowskim, ani tym bardziej do starych pudernic. O nie! Zegar biologiczny tykał, ale te żyłety nie musiały się nim przejmować. Z pewnością nie uskarżały się na cellulit, kurze łapki koło oczu i obwisłe piersi, zmory kobiet w minionych stuleciach.

Po zupie Grace zaczęła je niespiesznie przedstawiać, szepcząc mi przy uchu:

— Pozwól, że cię oświecę, Williamie. Numer dwa, Miriam, już ją znasz. Numer trzy, Agnes, widziałeś się z nią zaraz po przybyciu. O czwartą, Jacqueline, też już się otarłeś, spotkałeś ją na pływalni. Po twojej lewej ręce są kolejne. Numer piąty, Alison,

szósty, Belinda i siódmy, Chloe, dwie czekoladowe piękności.

Śliczne Murzynki przykuły na moment mój wzrok. Ich ciemne skóry, kręcące się włosy i czarne jak węgiel oczy niosły z sobą posmak egzotyki. Były ułożone i pogodne. Zapewne nie brakowało im temperamentu, jednak nie rwały się do tego, by mnie prowokować i przyciągać z siłą magnesu. Odziane gustownie, ale skromnie, nie eksponowały nadmiernie swoich wdzięków, które z pewnością chowały na inne okazje. Pojąłem, że póki co nie będę musiał za nimi biegać z wywieszonym jęzorem i przypomnieć merdać ogonem. Czego nie można było powiedzieć o ostatniej dziuni.

— Jak się mam do was zwracać? Przez pani czy przez ty?

— Po imieniu — wyjaśniła. — Zresztą jak wolisz...

Ósma z gorącej listy, najmłodsza, miała na imię Daisy i pomyślałem, że po obiedzie pod byle pretekstem powinienem z nią pogadać. Już wcześniej wpadła mi w oko, omal się z nią nie zde-rzyłem, gdy wróciłem z oranżerii. Należała do wyjątkowo odlo-towych dziewcząt. Była Hinduską z domieszką białej krwi i nie wyglądała na więcej niż dziewiętnaście lat. Wyciągnąłem teraz szyję, by ją lepiej widzieć. Domyślałem się, że nie będę umiał oprzeć się jej wdziękowi. Kryła się za Chloe. Otaczała ją aura egzotycznej zmysłowości. Jej niebezpieczna orientalna uroda, połą-czona z niewinnością i świeżością, sprawiały, że najchętniej ulokowałbym ją wyżej na wspomnianej liście. Silnie działała na moje zmysły i czułem, że między nami będzie się iskrzyć. Nie wy-padło mi obcesowo przenosić się na drugi koniec stołu, choć podobno mogłem wśród tym krasawic przebierać jak w ulęgałkach, grymasić i kapryścić. Lepsze było wrogiem dobrego, co prawda to prawda, jednak póki co musiałem zająć się moim pełnym powabu numerem pierwszym.

— Czy mogę zapytać... — zwróciłem się do Grace, gdy po-dawano na stół drugie danie. Belinda i Chloe ruszyły do kuchni.

— Tak?

— Chodzi mi o to... co będziemy... dziś wieczorem... —

wstydliwie pociągnąłem ją za język, nie kończąc zdania.

— Aha — odrzekła, domyślając się, o co mi chodzi. — Ponoć należę do najodważniejszych, bo inaczej nie byłabym pierwsza. — Zajrzała mi pytająco w oczy. — Może zjemy najpierw kolację we dwoje? Inne królowny będą mieć więcej czasu, by z tobą się oswoić.

— Myślisz o nastrojowej kolacji? Czemu nie? Zaprosiłbym cię, ale na tym zadupiu nie ma żadnej knajpy — pozwoliłem sobie na wątpliwy żart. Co nie znaczyło, że nie uznałem tego pomysłu za dobry.

— Da się to zrobić — stwierdziła.

— A co potem?

— Przeniesiemy się do mnie lub do ciebie. Gdzie będziesz wolał — wyjaśniła bez cienia skrępowania.

— I będziemy razem do śniadania... to znaczy do rana? — usiłowałem się upewnić, niespokojnie wierząc jej dziurę w brzuchu.

Siedząca po lewej stronie Alison nie wytrzymała i nieoczekiwanie zachichotała, wtrącając się do idiotycznej wymiany zdań. Gęste fale rudych włosów opadały jej na czoło. Jej mocno zarysowany podbródek wyrażał zdecydowanie i pewność siebie, ale nie odbierał jej uroku.

— Co za pożałowania godne teksty? Żołnierzu, nie wiesz, jak się do tego zabrać? — uszczypliwie zapytała. — Nigdy nie byłeś na polu walki? — Pewnie była przekonana, że jest bystra i że nie brakuje jej poczucia humoru. — A może wolisz sypiać sam? Kogo nam tu przysłano? Wykręcasz się sianem?

— Co ty nie powiesz?! Wiem, jak to się robi, niech cię o to głowa nie boli! — odparowałem z chmurną miną, niechętnie zezując w stronę mistrzyni ciętej riposty. Szelma uderzyła w moją czułą strunę. Co to? Wzięła mnie za niewydarzeńca i oferwę? Pojąłem, że nie powinienem być jak idiota indagować Grace przy świadkach. Mogłem to załatwić w cztery oczy. Wiedziałem, że nie potrafię utrzymać się w ryzach. Nie grzeszyłem subtelnnością.

Plotłem od rzeczy i niepotrzebnie się błaźniłem. Nie umiałem rozmawiać z kobietami. Jak gówniarz w szkole, nie wiedzący, jak zabrać się do pociągającej go koleżanki. Narażałem się na kpiny.

— Więc po co pytasz? Kwiatów też nie kupisz, bo tu nie ma kwiaciarni. Czego ci jeszcze trzeba do szczęścia? — okazała się bardziej zuchwała niż sądziłem.

Brakowało mi galanterii i nie lubiłem wręczać prezentów. Ostatnia rzecz, jaka chodziła mi po głowie, to obdarowywanie kobiet bukietami róż, hiacyntów, tulipanów, storczyków, lilii, niezapominajek lub fiołków. Nie byłem rycerski. Nerwowo umknąłem myślami ku szkolnym pięknościom. Wyleczyłem się z tego, gdy przyniosłem pachnącą wiązaną dumnej Kimberly z czwartej klasy. Wręczyłem jej ją na przerwie między lekcjami, bo chciałem z nią chodzić. Ośmieszyła mnie i odrzuciła. Na moich oczach lekceważąco wyrzuciła ten dowód szczeniwej miłości do kosza na śmieci, bez szacunku odwróciła się i odeszła.

— Kwiaty są w oranżerii. Nawet takie, które się ruszają. Mogę ich narwać, ile zechcę — natychmiast się odgryzłem, gotowy walczyć o swoje.

Miała niewyparzony język i traciła u mnie punkty. Wredna suka! Jeszcze chwila i zaczęłaby mi się kojarzyć z moją byłą żoną. Przeszyłem ją wzrokiem bazyliuszka, ale tym się nie przejęła.

— Wyluzuj, Alison! — łagodnie skarciła ją Grace. — Nie musisz mieć jęzorem. Nie prowokuj naszego gościa. Wszystkie to po swojemu przeżywamy. Przecież wiemy, z czym się mamy zmierzyć. A porozmawiać zawsze można.

Odłożyłem na obrus nóż i widelec, które nerwowo ścisnąłem w rękach. Odsapnąłem.

— Chcesz powiedzieć, że to dla was nowość? — zdziwiłem się, uspokojony jej słowami. — Żadna z was nie była mężatką? Jesteście z pensji dla cnotliwych pańienek? — chlapanąłem. Popępiałem gafy jedna za drugą, ale dziunia z numerem pierwszym tym się nie przejmowała. Tym razem jednak naprawdę przesadziłem.

Zapadło milczenie i pojąłem, że wpakowałem się w coś, co nie mieściło mi się w głowie. Czyżby wypuszczono je z żeńskiego klasztoru o surowej regule? Może w Galaktyce Trójkąta powstały już monastyny i zdążono rozbudzić powołania wśród kobiet? Ci spece od religii zawsze umieli trafić na pierwszą linię frontu. Wszak już z Krzysztofem Kolumbem do Ameryki popłynęli duchowni.

Moje singielki nie wyglądały jednak na zgorzkniałe stare panny, którym życie przeciekło między palcami, bo nie umiały rozkładać nóg. Cieszyły się, nie brakowało im wigoru i bezsprzecznie były pełne planów na przyszłość, promienne, wypoczęte i zadbane.

Przełknęły mój brak taktu.

— Nie miałyśmy mężów — rudowłosa Alison usiłowała odzyskać stracone punkty. Dopomógł jej biust, wyzierający z głębokiego dekoltu. — Zdobyłyśmy ogromną wiedzę i jesteśmy nie do przebiccia pod względem intelektualnym. Każda w swoim wyjątkowym zakresie. Jednak kosztem życia osobistego. Zawsze jest coś za coś. Można powiedzieć, że nie do końca wygrałyśmy wyścig z czasem. Tym niemniej próbujemy to nadrobić.

— Rozumiem — odrzekłem. Ładne i mądre, zabójcze połączenie. Mimo to nadal niczego nie rozumiałem. Co one robiły przez ostatnich dziesięć lat? Kryły się na widok facetów? Zmykały przed nimi gdzie pieprz rośnie?

— A ty byłeś żonaty?

— Byłem — odpowiedziałem z chmurną miną. Nie chciałem jednak ciągnąć tego tematu. Miałem się chwalić, że powinęła mi się noga? Też byłem z tym do tyłu o dobrych kilka lat. I pewnie wcale się od nich nie różniłem.

Udziec jagnięcy wyglądał zachęcająco i wspaniale pachniał. Podano go z musem jabłkowym i sosem miętowym. Zdecydowałem się ponadto na puree ziemniaczane. Potem rozejrzałem się za sałatkami. Dopiero gdy zabrałem się do drugiego dania uprzytomniłem sobie, czym te szprychy się różnią od turkawek, o które

ocierałem się od dziecka. Miały jednak w sobie coś z prawdziwych zakonnicek. Wprawdzie gustowały w ciuchach z okrzykami magazynów mody, ale żadna nie była obwieszona biżuterią, co mnie zdziwiło. Nie nosiły kolczyków, naszyjników, pierścionków i bransolet, ich twarze nie upiększał makijaż, nie rzucały się w oczy ekstrawaganckie fryzury, włosy miały naturalne kolory, a na krótko przyciętych paznokciach nie znaczył się róż. Nie wyczuwałem też damskich perfum. Może wyjątkiem była Agnes, której platynowe włosy wyglądały na farbowane. Czekoladowa Chloe też je miała rozjaśnione.

A jeśli przyjął się nowy trend w światowej modzie i żeby dobrze wypaść należało wyrzec się świecidełek? Czyżbym coś przeoczył, trwoniąc czas na orbicie odległej supernowej? Kościelni puryści byliby w siódmym niebie, bo przecież od wieków nawoływali kobiety do skromności.

Kiedy podano mi kawę w filiżance z serwisowego kompletu, kapryśnie poprosiłem o kieliszek koniaku. Pyskata Alison okazała się wyjątkowo uczynna. Podniosła się bez słowa i przytargała z kuchni charakterystyczną firmową butelkę z szeroką podstawą i wąską szyjką oraz dwa pękate kieliszki, bo takie nie stały na stole. Zamierzała napić się ze mną. Pewnie wiedziała, że facet nie lubi sączyć trunków w samotności. Spojrzałem na nią z nieskrywanym uznaniem, rozgrzeszając ją za cięty język. Etykieta na butelce mówiła sam za siebie: „Courvoisier, le Cognac de Napoleon”. Rozpieszczała mnie na potęgę. Pomyślałem, że później zabiorę napoczętą flachę do apartamentu.

Nalałem. Osuszyłem serwetką usta. Podniosłem kieliszek do toastu.

— Życie mierzymy w latach... — radośnie do niej rzuciłem.

— ...a drinki w mililitrach! — w te pędy fajowsko dokończyła. Znała tę odzywkę, więc umiałyby znaleźć się w moim towarzystwie. Nie nudziłyby się ze mną i moimi topornymi kumplami, którzy po kilku głębszych przechodzili na jarmarczny slang.

Pokrzepił mnie na duchu brzęk trącających się kieliszków. Skosztowałem. Ona też. To było to! Zaczęliśmy podejmować tematy mniej drażliwe. „Przepraszam, że okazałem się za mało uprzejmy!” W tak wytwornym gronie nie należało deptać sobie po odciskach.

— Wybierz się wieczorem na plażę, warto! Nocne niebo jest tu cudowne — zachęciła Alison, figlarnie przechylając się w moją stronę. Jej wyzieraający biust znowu ściągnął mój wzrok. — Ta planeta ma trzy kuliste księżycy, jeden z atmosferą. Obłądnie wyglądają, kiedy razem świecą.

Pomyślałem, że mógłbym włączyć ten punkt programu do szykującego się spotkania z ekscytującą Grace. Czy siedząca obok bogini była gotowa kochać się ze mną już po kilku godzinach znajomości? Popuściłem wodze fantazji. Upojny seks na plaży? Pod granatowym nieboskłonem wypełnionym diamentowym pyłem? Czemu nie? Uznałem, że powinienem wziąć tę opcję pod uwagę.

Z drugiej strony patrząc, siedząca obok mnie madonna była zbyt czarowna, by ciągnąć ją na rozgrzany piasek i pozwalać, by w delikatne plecy gryzły ją kamienie. Nie rzucało się pereł między wieprze, a lal takiej klasy nie zabierało się w krzaki. Gościło się je w hotelach o najwyższym standardzie. Tam ich przepiękne ciała niby kamienie szlachetne miały należytą oprawę. Przy stonowanym oświetleniu i przy dźwiękach cichej nastrojowej muzyki. Z usłużnym kelnerem podającym szampana, o ile mógł się taki znaleźć.

Rozdział 11

Po obiedzie młodziutka Daisy nie opuściła salonu, w przeciwieństwie do trzech innych pannic, które zaraz się ulotniły, zajmując swoimi sprawami. Została i pomagała w sprzątanii ze stołu. Nakrycia i półmiski wracały do kuchni. Ciągnąłem za nią tęsknym wzrokiem, obawiając się, że wcześniej czy później gdzieś przepadnie i że ujrzę ją dopiero w porze kolacji. Nie miałem ochoty czekać, piliło mnie, żeby się do niej zbliżyć, więc postanowiłem kuć żelazo póki gorące. Kluczyłem między kursującymi do kuchni modelkami, starając się do niej zagadać i zaraz niby przypadkiem na nią wpadłem. Odruchowo przytrzymałem ją za łokieć.

— Siemanko, piękna z końca stołu! — rzuciłem z kurtuazją, usiłując się usprawiedliwić. — Sorry, jak ja chodzę? Niezguła ze mnie.

Zwróciła się do mnie i obdarzyła mnie zabójczym uśmiechem. Z zaciekawieniem zajrzała mi w oczy. Pobudzała moje zmysły. Miała w sobie coś magicznego. Wydawało mi się, że nie powinienem się wahać i od razu wziąć ją w objęcia. A potem zapomnieć o całym świecie.

— Nic nie szkodzi, możesz częściej — zachęcająco zażartowała, pokazując piękne zęby.

Była młódką o hipnotyzującym spojrzeniu, wywołującym ogień w mężczyźnie. Drzemała w niej siła, a każda cząstka jej ciała emanowała seksapilem. Dowodziła sobą, że dobry Bóg, jeśli chciał, potrafił stworzyć prawdziwe чудо. Pojąłem, że jest uosobieniem zmysłowości i zacząłem podejrzewać, że może okazać się tak namiętna jak słodka Madison z Orlando, choć przecież nie

należała do klonowanych androidów.

Pieszczotliwie ująłem końce jej palców. Nie miałem zamiaru pozwolić jej odejść.

— Porozmawiamy? Czy gdzieś się spieszysz? — odważnie zapytałem, idąc za ciosem. — Moglibyśmy się lepiej poznać, przy obiedzie się nie dało. Musiałbym do ciebie wołać z przeciwnego końca stołu.

Zachęcająco wskazałem ręką zestaw wypoczynkowy z widokiem na kąpielisko przy oszklonej ścianie, żywiąc nadzieję, że gąska mi nie odmówi.

Nie odmówiła. Spolegliwie się zgodziła, pozwalając, bym po męsku przejął inicjatywę. Okazała się zadziwiająco potulna i skromna. Nie zamierzała krzywić się i zadzierać nosa.

— Nie ma sprawy! — rzekła pogodnie. — Możemy pogawędzić. Nigdzie się nie spieszę.

Porzuciła nakrycia, cedując poobiednie porządki na pozostałe madonny. Bez wahania poleciała na faceta, który do niej się przypiął. Pierwszą rundę wygrałem i mogliśmy rozgościć się przy błyszczącej ławie. Szczupła, żywa i niezwykle sprawna fizycznie, usiadła, zwracając się w moją stronę i podwinęła nogi. Była nadzwyczajnie piękna. Poczulem się przy niej tak, jakby nagle ubyło mi lat.

— Dlaczego umieszczono cię dopiero na ósmym miejscu? — zaciekawiony dociekałem, szukając tematu do rozmowy. — Taki klejnot. Czy dlatego, że jesteś ósmym cudem świata? — żartowałem.

— Bo ja wiem? Pewnie dlatego, że jestem nieśmiała — odpowiedziała niefrasobliwie.

Odniosłem wrażenie, że przesadza. Nie czuła się skrępowana, nie siedziała przy mnie sztywno i zachowywała się w miarę swobodnie. Wyglądała na niepłochliwą młódkę. Czegóż miałaby się wstydzić? Nie zamierzałem jej tłumaczyć, że faceci lecą na boskie lale w jej wieku jak ćmy do płonącej świecy, bo często wałbym ją truizmami. Tu nie było miejsca na taką grę. Pominą-

łem wyświechtane komplementy.

— Może mi powiesz, czym zajmują się twoje koleżanki? — rzekłem z zaciekawieniem, nie mogąc oderwać od niej wzroku. — Na razie znam tylko ich imiona.

Nie przejmowała się tym, że ją sonduję. Skinęła głową. Jej spojrzenie zdradzało wybitną inteligencję, uroda nie mogła tego ukryć, więc potrafiła ująć to zwięźle i nie musiała specjalnie się wysilać.

— Grace jest specjalistką od architektury krajobrazu, a ściśle biorąc od projektowania obiektów w kosmosie, Miriam jest botanikiem, ekspertem od flory na różnych planetach, Agnes jest genetykiem, Jacqueline zna się na nawigacji, jest obeznana ze statkami kosmicznymi, potrafi nadzorować ruch międzyplanetarny, a nawet międzygalaktyczny, Alison jest z kolei kimś w rodzaju maklera, śledzi wahania na giełdach i przepływy środków płatniczych, a ponadto jest w stanie sprostać księgowości ogromnego koncernu, Belinda jest specem od manipulacji w środkach masowego przekazu, Chloe podobnie.

Gdybym nie stracił zdolności trzeźwego myślenia, pojąłbym w mig, że singielki goszczące w tym kurorcie nie studiowały i nie zdobywały szlifów w Układzie Słonecznym, ale gdzieś dalej, w nieznanym mi stronach wszechświata. A gdzie dokładnie? Może w Galaktyce Trójkąta, skoro w jej rewirach urzędowały? Kosmos był taki wielki! Przejęty bliskością azjatyckiej arystokratki nie potrafiłem sobie tego uprzytomnić. Jej olśniewająca uroda przyćmiewała mój zdrowy osąd. Liczyło się tylko to, co miałem przed oczyma, jak również to, czego skrycie pragnąłem.

— A ty?

— Jestem od sprzątnia — rzekła skromnie. — Niekiedy nazywają mnie gońcem.

— Ja cię kręcę! — wypaliłem impulsywnie, a moje brwi powędrowały wysoko. — Gonią cię do roboty? Przecież teraz sprzątają maszyny. Chyba że chodzi o gońca na szachownicy — zażartowałem.

— Trudno — westchnęła. — I tak byś się dowiedział. Jestem specem od mokrej roboty, kimś w rodzaju korporacyjnego cyngla — zdradziła w sekrecie, odruchowo zniżając głos.

Nie chciało mi się wierzyć. Kojarzyła się z pięknymi strojami, a nie z tym brudnym zajęciem, do którego trzeba było mieć skórę nosorożca.

— Taka młodziutka gwiazda wolnym strzelcem? Podejmujesz się płatnych zleceń? — oczy mi się zrobiły okrągłe z wrażenia.

Nie ściemniała.

— Od czasu do czasu ktoś musi zrobić porządek — usiłowała się wytłumaczyć, spuszczać wzrok i omal nie kryjąc twarzy pod furą ciemnych włosów. — Taki zawód jak każdy inny.

— Nie wyglądasz na zbira i dobrze ci z oczu patrzy. Jesteś taka piękna.

Przemogła się i podniosła wzrok.

— A powinnam przypominać ponurego gangstera? Z twarzą poznaczoną bliznami, jak w starych filmach kryminalnych? — roześmiała się zabawnie, a w jej policzkach pojawiły się drobne dołeczki. — Teraz zresztą rzadko kiedy się zabija. Raczej formatuje się psychikę klienta. To czysta robota. Niemniej jednak potrafiłabym zabić i jestem obeznana z różnymi rodzajami broni palnej oraz z technikami walki wręcz, od kung-fu począwszy.

Tarłem brodę w zamyśleniu. Wreszcie rzekłem:

— Wiesz, że mnie to nawet rajcuje? Ale muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Nie sądziłem, że okażesz się taka groźna. Aż mi serce mocniej bije z wrażenia.

— Mam nadzieję, że to nie odstraszy cię ode mnie — zaszcebiotała. — Aby poprawić swój wizerunek, powiem, że dzięki posiadanym umiejętnościom potrafiłabym wcielić się w rolę twojego ochroniarza. Sztuka walki jest bowiem przede wszystkim sztuką samoobrony.

W tym, co powiedziała, było coś osobistego. Rzekła to takim tonem, jakby chciała zaznaczyć, że jest gotowa nie tylko mnie

chronić, ale i ze mną się bzykać. Cóż innego śliczny ochroniarz mógłby robić w nocy?

Pomyślałem, że reklama jest dźwignią handlu, a młodziutka Daisy potrafi umiejętnie się zaprezentować. Nawet diabeł mógłby jej pozazdrościć umiejętności kuszenia. Nie byłoby źle mieć kogoś takiego u boku. Zachwycony tą perspektywą, uległem przemożnej pokusie i moja dłoń niby przypadkiem zawędrowała na jej odsłonięte kolano.

— A może byśmy... już teraz... na dzień dobry... — wypaliłem pod wpływem niekontrolowanego impulsu, ale zaraz z przeżenienia ugryzłem się w język.

Teraz? Co mnie opętało? Posuwałem się za daleko, naruszając obowiązujące w tej mikrospołeczności reguły gry. Nabrałem nagłej ochoty, by tę dżagę od razu zaciągnąć do siebie, lecz coś mnie zaraz ostrzegło, że niebezpiecznie szarżuję. Powinienem być bardziej ostrożny. Należało zważać na słowa. Szybko zabrałem rękę, usiłując się wycofać. Nie umiałem flirtować, uwodzić i zdobywać. Brakowało mi cierpliwości. Grałem za ostro i szarżowałem jak byk na corridzie, co zwykle kończyło się fatalnie. W okamgnieniu dostawałem kosza.

Ku memu zdumieniu rozkoszna nastolatka od razu odgadła, co mi chodzi po głowie, jakby czytała w mojej duszy niczym w szeroko otwartej księdze. A może miałem to wymalowane na twarzy? Żywiołowo zareagowała na zaczepkę, nie dostrzegając w niej afrontu dla siebie. Wystartowała jak rakietka.

— Marzy ci się, żeby mnie pierwszą przelecieć? Chcesz olać listę? — palnęła z zadziwiającą szczerością, a jej oczy się zaświeciły. — Nie ma sprawy, możesz mnie bzyknąć, wpadnij za kwadrans do mojego apartamentu, będę czekać! — bez skrępowania mnie zachęciła, nie czekając, aż wysłowię się do końca.

Zrobiłem wielkie oczy. Poczynała sobie nad wyraz śmiało, czym mnie zupełnie zaskoczyła. Nie sądziłem, że młódka będzie zupełnie pozbawiona wstydu i że zechce pójść na pierwszy ogień. Poczulem, że dygocę z wrażenia. Jeśli chciała pokazać, że jest

kobietą wyzwoloną, to jej się udało. Moje zaloty trwały nadzwyczaj krótko, a jednak przyniosły upragniony efekt. Złapała mi się na haczyk złota rybka, gotowa spełniać me życzenia. Po kilku minutach niezobowiązującego flirtu. Co za tempo? Tak się to tutaj rozgrywało? Hamulce moralne zostawiało się w szatni? W tym nadmorskim ośrodku było naprawdę coś magicznego.

— Serio?! To jesteśmy umówieni — wydusiłem z siebie z pokerową twarzą, starając się ukryć to, co działo się ze mną. Rwałem się przecież do tego, żeby się zabawić. Serce mocno mi zabiło, a w spodniach zrobiło mi się ciut, ciut za ciasno. — Przytelepię się, z miłą chęcią! — dorzuciłem, starając się złapać oddech.

Kiedy się podniosła, a ja wraz z nią, zaczęło do mnie docierać, dlaczego zepchnięto ją na ósme miejsce. Rozejrzałem się po twarzach penelop, które kończyły sprzątać po obiedzie. Smukła Daisy nieco odstawała od tych intelektualistek. Miały wyszkolonego zabójcę w swoich szeregach, co nie napawało ich dumą. A może się myliłem?

Podniecony jak diabli krążyłem po salonie, nie umiejąc sobie znaleźć miejsca i pragnąc ukryć to, co czułem. Byłem jak na szpilkach. Hinduska rusałka znikła. Zezowałem na wyjście, mając ochotę za nią pobiec. Chyba żadna z pozostałych hurys jeszcze się nie zorientowała, co się stało. Nie przejęły się tym, że zacząłem flirtować z czarującą Daisy. Nachalnie poleciałem na najmłodszą i przeskoczyłem z początku na koniec listy, za nic mając odgórnie ustalony porządek. Uwielbiałem szukać guza i naruszać ustalone zasady. Ciekawe, co by zrobiły, gdyby odkryły, że nie skończyło się na niewinnej rozmowie, ale że umówiłem się z nią na bara-bara.

Przeczysta Daisy okazała się wolna od uprzedzeń i zahamowań. Od kogo się tego nauczyła? Od androidów do uciech cielesnych? Zaskoczyła mnie swoją bezpośredniością. Chciała zaszałeć. I zamierzała przy okazji nabić w butelkę pozostałe madonny. Poszła po linii najmniejszego oporu. Miała w nosie kolejność na

liście, więc dlaczego ja miałbym się przejmować poronionym rejestrem, który nie wiadomo kto stworzył? Też mogłem pójść na skróty. Należała do tego porywającego towarzystwa i dobrze wiedziała, na co się decyduje. Numer ósmy zamiast pierwszego? Czemu nie. Było mi to na rękę. Powinienem był rozdawać karty według własnych zasad, jeżeli chciałem się tu dobrze czuć. Inaczej straciłbym szacunek do samego siebie. Nie mogłem w własnych oczach uchodzić za tchórza.

Moja rozmówczyni wkręciła się w tajemne rendez-vous z niezwykłym talentem i wdziękiem. Zapropozowała mi numerek takim tonem, jakby chodziło o coś z gruntu błahego, na przykład o niewinny spacer po plaży przy świetle księżyca. Trudno, żebym się szczypał. Byłem facetem pozbawionym zasad, więc nie wahałem się ani chwili. Penis w erekcji nie miał sumienia. Nie do wiary! Okazało się, że jestem niewiarygodnym farciarzem, dzieckiem szczęścia, ulubieńcem fortuny i wybrańcem losu.

Zabrałem ze stołu napoczętą butelkę koniaku. Grace trajkotała z Miriam i do tych miluśkich podszedłem jak gdyby nigdy nic. Zamierzałem poruszyć jakiś neutralny temat, pozwalający odwrócić ich uwagę od tego, na co się z cicha zanosilo. Pomyślałem, że porozmawiam o roślinach z kosmosu, tym bardziej, że chciałem się o nich naprawdę czegoś dowiedzieć. Było to lepsze niż nudna pogawędka o pogodzie.

Grace i Miriam umilkły, ciekawie zwracając się w moją stronę, więc rzekłem, zaglądając w błękitne oczy niby-Szwedki:

— Pozwól, że cię o coś zapytam. Chodzi mi o te agresywne kłacza. Przyszło mi to do głowy, gdy oglądałem twoją oranżerię. Czy zetknęłaś się już kiedyś z transfugerami?

Zbladła, gdy to usłyszała.

— Tu ich nie ma, nie musisz się obawiać, Williamie! — odparła. — Trudno te agresywne stwory nazywać roślinami. To koszmarnie istoty. Są szalenie niebezpieczne. Pochodzą spoza naszych galaktyk. Miałeś już kiedyś z nimi do czynienia?

— Owszem. Dopadły mnie. A właściwie nie tyle mnie, co

mojego kota. Przynieśli mi ratunek enbargońscy medycy.

— Ach tak?! Tego nie wiedziałam.

— Zetknąłem się ponadto z quasi-roślinami, ukrytymi w niewielkich niby-sześcianach — perorowałem, podtrzymując ten temat. — Kiedy się do nich zbliżyłem, zaczęły szybko rosnąć i wystrzeliły z nich odrosty o fioletoworóżowych pędach. Miały witki, którymi sięgnęły w moją stronę, usiłując mnie obezwładnić. Główna odrośl wyglądała jak baśniowy smok.

Słuchała mnie z uwagą.

— Fioletoworóżowe, mówisz? Musiałeś trafić na dojrzałe okazy. To listery z Brillo. Nie są specjalne groźne, choć z pozoru na takie wyglądają. Mam w szklarni kilka, ale bardzo młodych. Jeśli chcesz, mogę ci je pokazać. Będiesz mógł się z nimi pobawić. Ich dotyk przypomina masaż. Uwalniają od napięć i stresów.

Propozycja była godna uwagi.

— Chętnie zajrzę — obiecałem, wracając oczyma wyobraźni do zasobów zastrzeżonych Meduzy. — Ciekawy jest świat flory, a kosmos potrafi zaskakiwać. Interesują mnie również te, które samodzielnie przemieszczają się po podłożu.

Pomyślałem, że może uda mi się wyjaśnić, co naprawdę się stało w bazie orbitalnej po odlocie załogi. Jakim cudem po korytarzach biegały stada zwierzaków? I skąd wzięły się w pobliżu uzbrojone po zęby statki kosmiczne obcych? Zachodziłem w głowę, usiłując to rozgryźć, ale na razie bez skutku.

Podeszła do nas miła Agnes. Platynowa blondynka gestem pokojówki wyjęła z moich rąk butelkę napoleona. Brakowało jej tylko hotelowego fartuszka.

— Zaniosę do twojego apartamentu — usłużnie się zaofiarowała, jakby wiedząc, że nie wybieram się do swego numeru.

— Dzięki! Co ja bym bez ciebie zrobił? — półzartem odprowadzałem, zaglądając w jej niebieskie oczy.

Gdybym był w hotelu, pewnie odruchowo pomyślałbym o napiwku.